

Notatki z udanych rekolekcji Wielopolskich

Nie będę ukrywał, że notatki te spisuję *ex post*, tuż przed zamknięciem prac nad tym numerem. Nie jest to więc zapis w rodzaju dziennika z wyjazdu do Wielopola, chociaż i taki, zachęcając grupę studentów do prowadzenia podobnych notatek na bieżąco, prowadziłem i ja. Na przywołanie ich wierne, *in extenso* zbrakłoby tu miejsca. Wyjmuję z tych notatek tylko niektóre, czasem dodając i dopisując obserwacje, zdarzenia, rozmowy chronologicznie późniejsze i te, które zdarzyły się wcześniej. Nie jest to, zatem dziennik w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Październik 2013 – luty 2014

Zanim wyjedziemy do Wielopola intensywnie wchodzimy w świat twórczości Tadeusza Kantora, projekcje filmowych zapisów i rejestracji *Umarłej klasy*, *Wielopola*, *Wielopola* i cykl filmów dokumentalnych Andrzeja Sapiji z „kremowej” serii wydanej przez Cricotekę, lektury tekstów, ustalanie i wybór indywidualnych tematów do opracowania podczas badań terenowych. Grupa jest niewielka, na początku liczy trzynaście osób, na drugi wyjazd stopnieje do dziesięciu. Roczniki urodzenia uczestniczących: lata 90. - 95. Nawet autor pracy magisterskiej o *Wielopolu*, *Wielopolu* Dawid Mlekicki, który dołączy do nas w drugim semestrze jako prowadzący zajęcia, wiedzący wszystko o obu Wielopolach, i teatrze Kantora, zapytany pod koniec drugiego wyjazdu (jak mogłem zadać mu takie pytanie!? Chyba tylko z powodu właśnie tej jego wiedzy, dojrzałych, nieraz „piętrowych”, subtelnych analiz i uwag): czy widział jakiś spektakl Kantora na żywo, odpowie zaskoczony, że, nie (przecież to oczywiste, jak mogę o to pytać?) – nie widział. Więc najpierw ciekawość: jak będą odbierać ten teatr, ci młodzi uczestnicy, którzy nie mogli go widzieć. Większość z nich ogląda i widzi te spektakle, i filmy po raz pierwszy...

Marzec 2014

Zanim nastąpi pierwszy wyjazd, jeszcze pod koniec semestru zimowego – kiedy ustalamy z nim terminy spotkania – przychodzi paczka od Józefa Chrobaka, z którym od początku zajęć jesteśmy w kontakcie telefonicznym. Dwie paczki. Staranie opakowane, w brązowy papier po 20 sztuk: w pierwszej: *Wielopole* i „*Wielopole*”, z okazji wystawy *Wielopole* i „*Wielopole*” Tadeusza Kantora w Galerii-pracowni Kantora, ul Sienna 7/5, VII-XI, 2013, red. Józef Chrobak, Kraków, Cricoteka 2013. W drugiej: *Motywy żydowskie w twórczości Tadeusza Kantora*, z wystawy w Galerii-pracowni Tadeusza Kantora, ul Sienna 7/5, XII, 2013 – V, 2014, której jest kuratorem. (Red. Józef Chrobak, Marek Wilk, Katarzyna Lemańska, Kraków, Cricoteka 2013). Mamy się z nim spotkać w Krakowie, w drodze do Wielopola. Wyjeżdżamy na pierw-

szy tygodniowy wyjazd (14- 21 marca) o świcie, przed czwartą rano (mimo że zajęcia są finansowane ze specjalnego programu, jest prośba Instytutu, żebyśmy podróżowali jak najtańszymi środkami komunikacji, takie są realia i możliwości Uniwersytetu, aby starczyło na inne wydatki: zakwaterowanie; delegacji też nie może być, bo przecież jak są to zajęcia, to nikt studentom nie płaci za ich wyżywienie). Wybieramy najtańsze połączenie jakie można było znaleźć, stąd ta godzina. Ma to swoje dobre strony, nie tylko, że jak żartujemy, pozwala lepiej wejść w nią, o tej porze, i czuć się bliżej, być blisko „rzeczywistości biednej” (w końcu, będącej jedynym, prawdziwym przedmiotem etnografii, godnym uwagi, jak za Kantorem, postuluje to w „Kontekstach”, w swoich antropologicznych tekstach Kuba Szpilka), ale pozwoli też lepiej wykorzystać czas. Do Krakowa dojedziemy tuż po siódmej. Zdamy złożyć plecaki w hostelu (całkiem luksusowym, na Rynku, koło Wierzyńka; ze względu na ilość osób, mamy rabat). Małgorzata Dzięwulska dojedzie (i wyjedzie z Warszawy) później. Jej samochód służyć nam będzie przez cały tydzień w Wielopolu, gdzie będzie zbierać nas po drogach i dowozić dzielnie do odległych dwu miejsc zakwaterowania. A my zdamy zjeść śniadanie – z hostelu jest wszędzie blisko – i być na czas w Cricotece, na Kanoniczej, gdzie umówieni jesteśmy na ósmą trzydzieści. Cricoteka żyje w napięciu, w logistycznej gorączce, i z mnóstwem prac związanych z jej przeprowadzką w przyszłym roku do nowej siedziby. Spotykamy się punktualnie z dyrektorką Natalią Zarzecką. Rozmowy o planowanym wspólnym numerze „Kontekstów” 2015, krótki wykład z historii Cricoteki. Specyfiki pracy muzealnej, archiwum, dokumentacji (to też jest przedmiotem kursu naszych zajęć). Potem zostajemy przejęci przez Bogdana Ręczyńskiego i Małgorzatę Paluch-Cybulską. Z panem Bogdanem schodzimy do piwnic, oglądamy wystawę *Gdzie są niegdysiejsze śniegi*. Pan Bogdan opowiada o autorze tego miejsca, o swoim Mistrzu i jak do niego tu trafił. Stoimy w zbitej grupce, zasluchani, zafascynowani, świadomi, że jesteśmy świadkami niezwykłego świadectwa, poruszeni, chłonimy każde jego słowo (zwłaszcza te o wiązaniu supelków w *Maszynie aneantyzacyjnej*). I chyba z tego otumanienia podróży, okazuje się, że nikt z nas – nie włączył dyktafonu! Pierwsza więc, już na początku elementarna warsztatowo-etnograficzna porażka. Musimy, będziemy, odtąd, już bardzo na to uważać. Zamawiam tekst u Pana Bogdana, że musi koniecznie to napisać, chociaż zdaję sobie sprawę, że w żaden sposób nie da się tego, tak, jak to zostało przed chwilą wypowiedziane, w żadnym tekście odtworzyć, powtórzyć, opisać. Potem wracamy na spotkanie z Panią Małgorzatą, wspinamy się, przechodzimy przez sień do znajdującego się na parterze, zaprojektowanego przez samego Tadeusza Kantora – jego (wiem, że to nieodpowiednie słowo) „biura-pracowni”, centrum pierwszej Cricoteki, wygospodarowanego na uboczu i oddzielnego od reszty przestrzeni parawanową, solidną, wykonaną z dobrego ciemnobrązowego, (wiśniowego?) drzewa, ścianą, w której są drzwi, nie dotykającą swą górną krawędzią łukowatego sufitu kamiennej sali. Z trudem mieścimy się wewnątrz, stoimy w drzwiach, patrzymy na spore biurko z utensyliami do pracy i przeciwległe ściany katalogów, na własnoręcznie wykonane i starannie opisane przez niego pudła i pudełka, w których spoczywają maszynopisy, rękopisy, notatki, rysunki, szkice, wycinki z prasowych recenzji, skrupulatnie gromadzone przez lata – „jeden dowód naszego istnienia” (istnienia teatru Cricot 2), jak mawiał o nich Kantor, które to słowa przywoła nam pan Bogdan – (usłyszymy je jeszcze nie teraz, dopiero podczas drugiego wyjazdu w maju) – gdy rozwieszać będzie kopie recenzji na ścianach starej (odnowionej) plebani w Wielopolu, montując swoją wystawę *Wielopole jest wszędzie*. Pani Małgorzata objaśnia poszczególne elementy tej pracowni, opowiada o nie-

zwykłej wrażliwości autora tego miejsca dla przedmiotu, jego materii, formy, barwy, koloru, zwraca naszą uwagę na jego własne czy dopilnowane przez niego wykonanie tych przedmiotów, powraca opowieść o szwajcarskiej beli białego papieru wykorzystanego w *Niegdysiejszych śniegach*. Opowiada też o sposobach opisu, katalogowania, dygitalizacji istniejącego tu archiwum, i nowych możliwościach jakie niesie ze sobą nowe miejsce. Nowa siedziba zaplanowana nie tylko na zgromadzenie, rozproszonych po różnych tymczasowych magazynach zbiorów, pod jednym dachem, ale i na lepszy do nich, i do archiwum dostęp, większa przestrzeń na wystawy, na ekspozycje. Na pytanie czy ten krakowski, Crikotekowy niewielki przecież gabinet, wręcz „mały pokój wyobraźni”, też będzie przeniesiony 1:1 do nowego miejsca i eksponowany, odpowiedź nie jest jednoznaczna. Zapewne jakaś tylko jego część. (A co stanie się z resztą? Czy nie można nic już zrobić, nie da się naprawdę zachować tego miejsca takim, jakie „było”? Dopada nas tu ta ranliwa, szczególna dla antropologów sytuacja, tylekroć opisywana przypadłość, na którą chorują, i nad którą lamentują: bycia świadkiem znikania /jakiegoś/ świata. „Trzeba śpieszyć się, rzeczy szybko znikają” (Cézanne). Zostaje pocieszenie, że w końcu jesteśmy i tak szczęśliwcami, że możemy to zobaczyć, że należymy do tych, którzy to widzieli, mogli to jeszcze widzieć. (Ale i nie ustaje jednak natrętna myśl i wątpliwość, czy ten kontakt z prawdziwym artefaktem są w stanie zastąpić „szklane” ekrany monitorów nowej technologii?). Na jedenastą trzydzieści umówieni jesteśmy z Józefem Chrobakiem na Siennej, dzwonię, że będziemy trochę spóźnieni... (Jak na Kanoniczej, będąc tam też po raz pierwszy, nie mogę opędzić się od wspomnienia, jak to Kazimierz Wiśniak – malarz, grafik, rysownik, scenograf, współpracujący, żyjący bardzo blisko „na dobrej stopie” z Piwnicą pod Baranami, dzielił się w *Vis-à-vis*, wstrząśnięty, poruszony, swoimi wrażeniami po pierwszej wizycie, w dopiero co, otwartej Galerii-pracowni Tadeusza Kantora na Siennej: „Bywałem tam przecież tyle razy za jego życia. Zupełnie nie mogłem poznać tego miejsca! Tak sterylnie wysprzątane. Przedtem tam kłębiło się od stert papierów, gazet, rysunków, obrazów, materiałów do pracy – to była prawdziwa pracownia i mieszkanie. Teraz, tam nic z tego nie zostało”). Z Panem Józefem oglądamy wystawę, której jest kuratorem i towarzyszący jej, odnaleziony, archiwalny dokument, 7-minutowy film z Wielopola Skrzyńskiego nakręcony przez Davida Taitelbauma – wypisuję z katalogu: (David Teitelbaum [1891-1972] *filmowiec urodzony w Wielopolu, w pierwszych latach XX wieku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie zajął się prospektywą biznes. Prawie co roku wracał do Wielopola, by odwiedzić rodzinę, a w 1938 r. sfilmował swoją wizytę. W czerwcu lub lipcu 1939 r. przyjechał do Wielopola ponownie, tym razem na krótko, gdyż obawiał się bliskiego wybuchu wojny. Możliwe, iż niektóre fragmenty filmu pochodzą z tej wizyty. Na filmie pojawiają się członkowie rodzin Teitelbaum, Rappaport i Sartoria, ich sąsiedzi i znajomi. W czasie Holokaustu zginęło wiele żydowskich rodzin, a wraz z nimi niestety również ich historie. Jednak historia Ojzera Teitelbauma i jego rodzina przetrwały. Głową rodziny Teitelbaum był Ojzer Teitelbaum, który był też jednym z przywódców społeczności żydowskiej w Wielopolu. Wraz z żoną przeprowadził się tam z Oświęcimia, aby być bliżej swoich dwóch córek, które tam zamieszkały. Został zamordowany w czerwcu 1942 r. Jego żoną była Lea (z domu Blattberg), która być może zmarła na skutek choroby jeszcze przed masowymi mordami i deportacją, ale możliwe, że również została zamordowana w 1942 r. Ich imiona zostały zapisane na niewielkim pomniku wzniesionym w Wielopolu ku pamięci zamordowanych Żydów. [...]David, który nakręcił film oraz Chiel wielokrotnie wracali [z USA], aby odwiedzić Wielopole i obydwoj pojawiają się w filmie. Obraz pokazuje typowe polsko-żydowskie miasteczko, w którym wielu Żydów było sklepika-*

rami i kupcami dostarczającymi miejscowej społeczności towarów codziennego użytku. W filmie pokazana jest również ich siostra Rajzel Sartoria z domu Teitelbaum, która zginęła, jej mąż Mosze (losy nieznane), a także Szejndel Rappaport z domu Teitelbaum (1889-?) i jej mąż Mosze Aaron (1887-?) – oboje zginęli, choć nie wiadomo gdzie i jak. [...]Mord na chorych i starych Żydach został wiernie przedstawiony na obrazie mieszkańca tego miasteczka – Romana Lipy. W 2012 w siedemdziesiątą rocznicę mordu, członkowie rodziny Teitelbaum odwiedzili Wielopole, aby dowiedzieć się więcej na temat rodzinnego sztetl oraz strasznego losu swojej rodziny. Profesor Joshua Teitelbaum z Ra'anana w Izraelu, prawnuk Lei i Ojzera Teitelbaumów, zorganizował podróż i poprowadził modlitwy przy masowej mogile. Podczas wizyty spotkali się oni z rodziną Romana Lipy, a dr Steven Teitelbaum z Los Angeles, prawnuk Lei i Ojzera, zakupił obraz w imieniu rodziny Teitelbaumów. Dzieło to jest obecnie tymczasowo wystawione w biurach Yahad-In Unum, organizacji prowadzonej przez ojca Patricka Desbois. Jest to wiodąca organizacja zajmująca się badaniami nad masowymi egzekucjami ponad 2,5 miliona Żydów oraz tysięcy Romów w Europie wschodniej w latach 1941-1944.). Z panem Józefem, który od początku naszych zajęć dyskretnie nam towarzyszy, interesuje się naszymi postępami, jest ich dobrym duchem i naszym Przewodnikiem w drodze do Wielopola, i który zasila nas swoimi wskazówkami i publikacjami, ustalamy znowu, na najbliższy tydzień plan naszych spotkań, listę miejsc i osób, do których powinniśmy dotrzeć. Zresztą, później na każdym kroku będziemy czuli tę jego obecność (będzie dzwonił wieczorami sprawdzając, co nam się udało zrobić i wkrótce okaże się, że nie jesteśmy jedynymi, dla których był takim przewodnikiem. Śpiemy w Krakowie. W sobotę po południu Małgosia zapakuje ile się da osób do swojego samochodu. Reszta, pociągami, autobusami przez Dębicę, Ropczyce, dojedzie na miejsce.

Maj – czerwiec (23 maja – 1 czerwca)

Wpisuję już daty majowe, bo oba wyjazdy nakładają się na siebie. Pierwszy – siłą rzeczy jest rekonesansowy, bardziej wspólny, drugi – chociaż wrócimy do tych samych miejsc i osób – znacznie zindywidualizowany, każdy ma swój plan wcześniej już umówionych spotkań. Ale jeszcze tego marcowego wieczoru, kiedy Wielopole i okolice pokryte są białym solidnym śniegiem spotykamy się (zjeżdżając z różnych stron) na Rynku w pizzerii F (lorii) (z napisu zostało tylko F), to będzie nasz główny punkt kontaktowy. Zdażymy jeszcze zajrzeć do kościoła, trafiając na koniec wieczornej mszy, żeby poczuć atmosferę tego miejsca, gdzie grudniową, podobnie śnieżną porą, odbyło się trzydzieści jeden lat temu przedstawienie Wielopola. Potem rozejdźmy się do kwatery umieszczonych na dwu krańcach Szufnarowej, miejscowości położonej jakieś 7 km od Wielopola (do tej drugiej będzie 15 km.). W maju zmieścimy się razem w jednym gospodarstwie, u przemysłych i gościnnych Krystyny i Stanisława Ziębów. Wspólnie spędzamy długi zimowy wieczór z rodziną Romana Lipy – stolarza, malarza, fotografa, historyka Wielopola, społecznika i tak ważnej, zasłużonej postaci dla wielopolskiej społeczności. W towarzystwie jego córki, zięcia i wnuczek przeglądamy sterty zdjęć przez niego zrobionych – śluby, chrzciny, pierwsze komunie, pogrzeby. Oglądamy obrazy, wykonane przez niego skrzypce. Wертujemy jego maszynopisy, rękopisy, które katalogują, wpisują do komputera i opracowują od kilku lat jego wnuczki. Zbiór jego historycznych prac złożony też jest w Bibliotece Gminnego Ośrodka Kultury. Tam spotykamy się z Dyrektorem Marcinem Świeradem, ma mało czasu, wrócił z podróży służbowej do Wiednia, ciągle obowiązki, ale zdąży opowiedzieć wiele podczas dwugodzinnej rozmowy o historii powołania muzeum w starej plebanii, gdzie urodził się Kantor: – „Służyłem u księdza Śmietany,

jako ministrant. Książd Śmietana to był dla mnie mój Uniwersytet! On mnie obronił, bo wie pan, ja po chorobie od dzieciństwa kuleję i niektórym parafianom to się nie podobało, że służę mu przy ołtarzu, że to nie wypada. A książd na to: «To dobrze, on mi jest bardzo potrzebny, bo on kuleje na jedną nogę, a ja na tę drugą i tak jest dobrze, bo jest równowaga». [...] A wie pan, że jak byliśmy we Włoszech na konferencji, to było nawet trochę niezręcznie, bo w naszej delegacji byli przecież ważniejsi przedstawiciele Wydziału Kultury z Krakowa, to nimi się nikt nie interesował, nikt do nich nie podchodził, tylko z nami chcieli rozmawiać, bo jesteśmy z Wielopola. Pani Natalia Zarzecka, która zna doskonale włoski, musiała ciągle być naszym tłumaczem. Po tym spektaklu, a zwłaszcza po śmierci Tadeusza Kantora, to książd Bylinowski, który był wtedy proboszczem, mówi «musimy coś z tym zrobić, tyle ludzi ze światu przyjeżdża zobaczyć tę plebanie, a tu taka ruina, to wstyd...» Cricoteka nam bardzo dużo pomogła i pomaga. A Pan Józef Chrobak to był nasz guru. On to wszystko wymyślił, że to nie może być muzeum takie prawdziwe, bo nie ma warunków, że to będzie Ośrodek Dokumentacji i Historii Regionu – Muzeum T. Kantora.” Najwięcej czasu dla nas ma pani Maria Wójcik – bibliotekarka, która sprawowała opiekę nad „Kantorówką” przez pierwsze jej lata. Jest autorką bardzo ciekawej prezentacji multimedialnej (na dvd) o Kantorze (mam nawet pomysł, żeby wprowadzić ten materiał do numeru, jako rzecz tu powstałą i pokazywaną w Wielopolu, taki portret we wnętrzu artysty). U niej spędzamy najwięcej czasu w maju, akurat, kiedy biblioteka jest w stanie przeprowadzki, (dlaczego ciągle ten czas przeprowadzek nawet tu nas dopada, jak w Cricotece?). Rozmawiamy wiele godzin, ma do nas świętą cierpliwość, żartujemy, że powiązane przez nią stopy książek to ambalaze/asmbalaze a właściwie ambibliotekobalaze (jeśli od bibliotekarza, czy nie powinny pisać się przez „rz”?). Nie bacząc na swoje zapracowanie, kseruje nam materiały z kronik i historii Wielopola. Uda się namówić ją na napisanie tekstu o jej doświadczeniach, jako kuratorki. Jednego z wieczorów odwiedza nas profesor Władysław Tabasz, prawnik, socjolog, (Brzeżnianin, autor wielu prac m.in. *Wielopolszczyzna - szkice z dziejów*, Wielopole 1991). Był wójtem Wielopola, gdy powstał pomysł utworzenia Kantorówki. W 83’ roku, jako młody strażak pracował przy organizacji widowni w kościele, uczestniczył w przygotowaniach do spektaklu. Po wykładzie z historii okolic i okoliczności towarzyszących przyjazdowi Kantora, przepytany czy była, i jak, budowana widownia uważa, że nie było specjalnej konstrukcji, – „po prostu ludzie siedzieli w ławkach, gdyby coś budowano, trzeba by było wynieść ławki, a tego nie pamiętałem, żeby ławki stały przed kościołem”. Ta kwestia ławek i widowni zajmie potem parę dni ustalania z innymi rozmówcami, zupełnie jak z dialogu Wujka Olka i Wujka Karola w *Wielopolu*, *Wielopolu* uzgadniających, co gdzie stało: stół, okno, szafa, łóżko, a gdzie były drzwi, a gdzie okno, kończący się – „skoro Ciebie nie było, to i mnie nie było”. Pada pomysł, a dziś z dystansu patrząc, wydaje się jak najbardziej trafny, nie bacząc na intensywność, czy może i naszych badań w Wielopolu nie należałoby właśnie tak opisać, opatrując je Kantorowym tytułem – „Może nas tam w ogóle nie było”. Wielopole, z niewidzialnym, nieuchwytnym, mieszkającym na uboczu, oryginałem, społecznikiem, propagatorem honorowego krwiodawstwa, dziennikarzem Stanisławem Wlezieniem, którego wskazał nam pan Józef, że „warto z nim porozmawiać”. Brzeziny z przepięknym drewnianym kościołem św. Mikołaja (1501) i Muzeum Parafialnym w starej plebanii. Niebywała kolekcja w Izbie Pamięci ks. Bronisława Dominowa w Szufanowej – nigdzie nie widziałem takiego tornistra, jak tam, wykonanego prawie w całości z drewna, leżącego pośród wielu innych, na ławkach, w sali przedstawiającej szkolną klasę

– muzeum, po którym oprowadzał nas nauczyciel pan Zenon Petka autor albumu *Krzyże i kapliczki w Szufanowej* (opisane z fotografiami i mapą terenu 46 obiektów). Nie mówiąc już o samym księdzu Bronisławie, licznych opowieściach i dobrej pamięci o nim. („On potrafił zebrać pijanego chłopca, wsadzić go do pekaesu i odwieźć do domu, żeby żona się nie martwiła. I umiał takiemu przemówić do rozumu. Taki był”). A już zupełny nokaut w Braciejowej: sołtys Stanisław Kosowski nie tylko ze swoją kolekcją narzędzi, sprzętów rolniczych, przedmiotów, ale i jego archiwum, zmysł i zbierane materiały do historii okolic, i wiedza, zna każdy ważny obiekt, sam odremontował zagrożoną rozpadającą się kapliczkę na drodze do rodzinnej wioski w Gumniskach. Właściwie powinienem powiedzieć, nie sołtys, a „Odys” z Braciejowej, odznaczony przez Ministra Kultury Złotą Odznaką za ratowanie zabytków, który zjechał „od 1977 roku, jeszcze za Związku Radzieckiego 31 krajów Europy”. Pracował w Szwecji, Norwegii, Francji, we Włoszech, w Niemczech, Szwajcarii..., a teraz siedzi w źródłach i archiwach, prawdziwy historyk, wie wszystko o nieistniejącym już dworze na Berdechu, (do którego nas zawiezie), gdzie leśniczym był Jan Berger, pradziadek Tadeusza Kantora... a teraz, gdy opowiada, że jest w korespondencji z Anną Dygas w Warszawie, u której, w jej zbiorach rodzinnego archiwum zachował się jedyny, (bo nie zachowały się żadne fotografie) napisany wierszem opis tego dworu, związanego z pisarzem Ignacym Maciejowskim Sewerem, gdzie był sufit, jak się przypuszcza malowany przez Jana Stykę (jak powiada wiersz: „[...] *Na błękitach jaskółki, aniolki i kwiaty. / Malował go Jan Styka, malarz dobrze znany*”). Gdy Emilia (studentka) nie wytrzyma, i zada pytanie, które wszystkim nam, słuchającym Pana Stanisława ciśnie się na usta: – Panie Stanisławie, a skąd się wzięła taka pasja, i takie uciążenie do historii, a Pan Stanisław odpowie uśmiechając się jakby chytrze i świadom efektu: – „Wie Pani, nas było dziesięć rodzeństwa, myśmy mieli babcię, która bardzo długo żyła, zmarła w bardzo późnym wieku i ona lubiła opowiadać nam dzieciom, jak to było dawniej, i ona nas zbierała koło siebie, jak coś robiła, i opowiadała, i tak siedzieliśmy wszyscy, i po kolei ci wszyscy z mojego rodzeństwa, tak po jakimś czasie, po kolei, chyłkiem, niezauważalnie wymykali się i uciekali się bawić, a ja byłem tym, co zostawał i słuchał do końca”. U rodziny Pana Stanisława w Gumniskach, jak wybuchła wojna, znalazła schronienie matka Krzysztofa Pendereckiego (oni z Kantorem byli spokrewnieni przez Bergerów chyba), „ojciec z Krzysztofem postanowił uciekać, jak wielu na wschód do Lwowa, a jego mama nie czuła się najlepiej i u nas została. Jak się okazało później, ona jeszcze wtedy nie wiedziała, nikt o tym nie wiedział, że była brzemienna i tak urodziła się potem siostra Krzysztofa. Jak spotkaliśmy się z Panem Krzysztofem na uroczystej Sesji w Dębicy, to żeśmy o tym rozmawiali...”. A więc, już teraz, kiedy patrzę na stos kart, kserokopii, wycinków prasowych, fotografii z archiwum pana Stanisława, zabranych do Warszawy do skanowania, i po jego wizycie z „drobnymi” eksponatami, w Instytucie Sztuki, wiem to zresztą już od dawna, gdy myślę o godzinach nagrań, że w Wielopolu i okolicach natrafiłbym na prawdziwą kopalnię etnograficznego, historycznego, kolekcjonerskiego, dokumentalnego, fotograficznego, rekolekcyjnego złota. Że to jest materiał na osobną książkę o pamięci. I wsłuchując się w te zagadkowe słowa Józefa Chrobaka wypowiedziane do pana Dawida Mlekickiego, które ten z kolei umieścił w swej pracy o Wielopolu, jako motto: „Tam nie ma nic, koniecznie musi Pan tam pojechać!”, wiem już to od dawna, że jeszcze wrócimy – Panie Józefie – będziemy wracać do Wielopola.